

N^o 13 14 KWIECIEŃ 1929

Jerzy Szurig: Syzyfowa praca; Artykuł Marszałka J. Piłsudskiego; Z politycznego notatnika; *St. B.:* Zadania społeczeństwa wobec kresów wschodnich; *Wilam Horzyca:* Samuel Zborowski F. Goetla; *T. Oszyński:* Kryzys kredytowy; *W. Sz.:* Sytuacja gospodarcza w lutym.

CENA 50 GROSZY

PRZE KOM

TYGODNIK · POLITYCZNY · ROK IV

SYZYFOWA PRACA

Tępiąc i piętnując bezlitośnie — w sposób Jemu jednemu zresztą tylko dozwolony — wszelką wichrzycielską swawolę, wszelką destrukcyjną demagogję, święcącą wciąż triumfy w gmachu przy ul. Wiejskiej — chroni Komendant system przedstawicielstwa ludowego przed ostatecznym bankructwem, a Polskę przed przewrotami i groźnemi wstrząsami, zapewniając jej na przyszłość możliwość rozwoju.

Wydarzenia ostatnich tygodni sesji budżetowej Sejmu zaciężyły poważnie nad życiem politycznym Państwa.

Z jednej strony — odbiły się w sposób szkodliwy na toku oraz napięciu wielkich, brzemiennych dziejową odpowiedzialnością prac nad umocnieniem i przebudową Państwa, prac, podjętych w wyniku zwycięskiej Rewolucji przez rządy Marszałka Piłsudskiego; z drugiej zaś — obniżyły bezwątpienia w społeczeństwie — a przynajmniej wśród jego bardziej świadomych elementów — powagę Parlamentu... i tak już dokładnie zachwianą na skutek długoletniej anarchji sejmowładztwa.

Łudzą się bowiem osobiście pp. przewodcy zjednoczonych pod sztandarem negacji opozycji, jeśli sądzą naprawdę, iż wymierzywszy strzał (miast w istotnego przeciwnika, na którego nie śmia podnieść broni) w plecy lojalnego sekundanta — umocnili w ten sposób swój „autorytet moralny” i swą pozycję w społeczeństwie. Te metody — chemicznie wyprane z tego, co Anglicy określają słowem „fair”, to postępowanie, które tak zrównoważony, tak panujący nad swą myślą i formą jej uzewnętrznienia człowiek, jakim jest prezes N. I. K. prof. Wróblewski, określił jako „rażące dotkliwie poczucie sprawiedliwości” — cała sprawa ministra Czechowicza nie tylko nie przyniosła opozycji tak upragnionej rehabilitacji moralnej, lecz pograżyła ją jeszcze bardziej w oczach świadomej opinii publicznej. Charakter bowiem poczynań opozycji był nie tylko w swej formie, lecz i w swej treści — wyłącznie destrukcyjny, nawskroś apa-

stwowy. Jedynym rezultatem wszczętej akcji jest i musi być posiew anarchji w umysłach najszerzych mas oraz wielkie spustoszenia moralne. Postawienie p. ministra Czechowicza w stan oskarżenia za nieprzedłożenie Sejmowi dodatkowych kredytów załamuje się w umyśle przeciętnego obywatela polskiego — nie bez współdziałania zresztą agitacji opozycyjnej — pod kątem: „minister kradł, rząd kradł”. A stąd już krok tylko, bardzo niewielki krok do rozumowania: „minister kradł mój ciężko zapracowany grosz, a więc nie płacić, nie dawać podatków”! Czy poczucie państwowości jest naprawdę tak głęboko utrwalone w masach, by celem zaspokojenia nienawiści partyjnej można było ważyć się z lekkim sercem na tego rodzaju burzycielską akcję, jaką podjęło „Towarzystwo łowienia ryb w mętnej wodzie” pod firmą „Lieberman, Rybarski et C-ie” — spółka Sejmowo - opozycyjna z bardzo ograniczoną odpowiedzialnością? Nic to, że oddano Trybunałowi Stanu ministra, który uzdrowił finanse Państwa, ustabilizował walutę i znakomicie administrował skarbem. Cóż to wszystko obchodzi partyjnych „poławiaczy nocnych cieni”? Cóż znaczą tego rodzaju względy wobec racji partyjnej? Czyż mogła ostać się wobec tej racji fachowa, sumienna, głęboko w umyśle i sumieniu przetrawiona opinja prof. Wróblewskiego, ustalająca ponad wszelką wątpliwość, iż za nieprzedłożenie kredytów uzupełniających minister ponosi jedynie i wyłącznie odpowiedzialność polityczną? Skierowanie sprawy p. Czechowicza do Trybunału Stanu dawało bezwątpienia

większy efekt; podnosiło kurs akcji partyjnych na giełdzie wyborczej. A więc Trąpczyński, Lieberman, Witos, Dąbski, Korfanty uchwalają zgodnie oddać p. ministra Skarbu Trybunałowi Stanu...

Zjednoczona opozycja chciała za wszelką cenę „skandalu”. Skandal obrała jako metodę walki, jako narzędzie swojego regime'u. W ten sposób sama raz jeszcze zdyskwalifikowała się i zdyskredytowała. Jest bowiem coś jeszcze znacznie niebezpieczniejszego, znacznie groźniejszego od demagogii politycznej: jest niem — *demagogja prawno-sądowa*. Opozycja wkroczyła lekkim krokiem na tę śliską i błotnistą drogę, uprzytamniając tym, którzy już zdążyli zapomnieć, czym jest i czego od niej można oczekiwać.

Destrukcyjną negację, a jako cement — nienawiść, — oto co niesie Państwu zjednoczona opozycja.

Co gorsza jeszcze, wszystkie swe godzące w interesy Państwa poczynania, całą swą tandetę ideowo-taktyczną opozycja przykrywa pawilonem przedstawicielstwa narodowego, drapując swą zacieklą walkę o wpływy w dostojne fałdy „obrony autorytetu Sejmu”, którego powagę sama właśnie najbardziej kompromituje swą niepoczytalnością i swem warcholstwem. Bo czyż inaczej nazwać można skreślenie — w naszych zwłaszcza warunkach geograficznych i politycznych — funduszu dyspozycyjnego ministra spraw wewnętrznych oraz b. poważną redukcję funduszu dyspozycyjnego ministra spraw wojskowych? — A równocześnie prorocy i heroldzi stronnictw opozycyjnych wmawiają codziennie w bezkrytyczne umysły, że nieodzowna walka ze szkodnictwem i warcholstwem zjednoczonej opozycji wymierzona jest przeciw samej instytucji Parlamentu, przeciw idei reprezentacji ludowej. Powtarzając ten refren bezustannie, być może iż niektórzy z nich — na skutek autosugestji lub, jeśli kto woli, autozakłamania — sami wreszcie uwierzyli w to, co głoszą. Inni znów bronią „autorytetu reprezentacji narodowej”, bo tego wymaga *w tej chwili* interes partyjny i taktyka — zaś w gruncie rzeczy demokracja i parlamentaryzm są im równie dalekie i obce, jak ongiś idea Niepodległości i wyzwolenieczy czyn zbrojny Narodu.

Obrona instytucji Parlamentu? Ależ tej obrony podejmuje się przeciw wam właśnie, p. p. opozycjoniści, i najskuteczniej ją prowadzi — Marszałek Piłsudski. Tępiąc i piętnując bezlitośnie — w sposób Jemu jednemu zresztą tylko dozwolony — wszelką wicherzycielską swawolę, wszelką destrukcyjną demagogję, świecącą wciąż tryumfy

w gmachu przy ul. Wiejskiej — chroni Komendant system przedstawicielstwa ludowego przed ostatecznym bankructwem, a Polskę przed przewrotami i groźnymi wstrząsami, zapewniając jej na przyszłość możliwość rozwoju. Prawda, Jego wystąpienia przeciw sejmokratom, dążącym prawem i lewem do „odegrania się”, są coraz twardsze i coraz bezwzględniejsze, Jego ostrzeżenia coraz bardziej kategoryczne; z chłodnym opanowaniem wytrawnego chirurga przykład Piłsudski rozpalone żelazo do ropiejących ran sejmowego partyjnictwa: — ale bo czas nagli; bo akcja ratownicza, podjęta przez Komendanta, winna możliwie najrychlejsze wydać rezultaty; bo Polska winna wejść nareszcie na drogę normalnej państwowej egzystencji, „wytrwałej, solidnej pracy”, na drogę — wysiłkiem społeczeństwa w granicach spiętrzonej trudności wykuwanego — postępu.

Całe życie, cała działalność Marszałka Piłsudskiego aż do ostatnich czasów włącznie, Jego czyny i słowa świadczą zupełnie niedwuznacznie, iż w Jego głębokim przekonaniu byt i siła Państwa znaleźć mogą jedynie istotne a trwałe oparcie w samorządnym, świadomym publiczno-moralnych dyscyplin społeczeństwie, w samodzielnym rozwoju sił Narodu, w niekrępowanym krystalizowaniu się i wyrażaniu dążeń społecznych.

Rzeczywistość polska zatruta miazmatami niewoli, dorzucając do przeszczepionych na nasz grunt przez „Sejm Suwerenny” przyczyn ogólnoeuropejskiego kryzysu politycznego swój własny, wcale w tej dziedzinie pokaźny dorobek — wynaturzyła jak najgruntowniej ustrój t. zw. „demokracji parlamentarnej”, będącej narazie względnie (o jakże względnie!) najdoskonalszą formą samorządu społeczeństwa. Degeneracja ta poszła tak daleko, iż zachwiała niepodległy byt Polski. Wówczas rozległy się gromy Rewolucji Majowej. I od tej chwili nieubłagane i konsekwentnie zwalcza Marszałek Piłsudski tę degenerację ustrojową i zhoczenia polityczno-obyczajowe Polski. Zwalcza objawy chorobowe ustroju, ale nie sam ustrój, a zwalcza je tak ostre i radykalnymi środkami dlatego właśnie, że chce ocalić ustrój. Podjął się Marszałek Piłsudski syzyfowej zaiste pracy przerodzenia umysłowości i obyczajów politycznych Polski. W tej pracy nie znajduje bodajże Marszałek Piłsudski dostatecznego zrozumienia, oparcia i pomocy nawet wśród niektórych odłamów swojego obozu. Ale to jest już inna historia...

8.IV.1929.

Jerzy Szurig

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom naszego pisma, iż czas najwyższy odnowić przedpłatę za kwartał następny.

Konto czekowe „Przełomu” w P. K. O. 13.044.

ADMINISTRACJA

DOKUMENTY EPOKI.

ARTYKUŁ MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO

OGŁOSZONY W DN. 7 KWIETNIA 1929 R.

DNO OKA

CZYLI WRAŻENIA CZŁOWIEKA CHOREGO Z SESJI BUDŻETOWEJ W SEJMIE.

W zeszłym roku, gdy zapadłem na niewyjaśnioną dotąd chorobę i gdy grupa lekarzy badała mnie ze wszystkich stron zaglądając w tajemnicę choroby, która mnie dręczyła, nagle jeden z nich tonem zupełnie zwyczajnym zawołał do swoich kolegów: „Oto zapomnieliśmy, trzeba jeszcze Panu Marszałkowi zbadać dno oka, zrobimy to jutro”.

Wyznam, że struchlałem, powiedzmy otwarcie, stchórzyłem, nie wiedziałem, że oko ma jakieś dno. Lecz gdy pomyślałem, że moje biedne oko, gdzieś w swoim dnie będzie dotykane czy rękami czy instrumentami, bałem się wprost panicznie takiej operacji. I chociaż pan doktor mówił o tem zupełnie obojętnym tonem, to mnie nie uspakajało. Bo o czem ci panowie lekarze zupełnie obojętnie nie mówią, — należy to do ich fachu. Odczucie mego tchórzostwa, do którego otwarcie się przyznaję, było mi niezmiernie przykre i wstydziłem się tego, jak jakieś głupie dziecko. A wiedziałem, że w tej chwili pobiegły już jakieś telefony, zamawiające jakieś nieznanne mi maszyny, czy instrumenty, umawiające się o czas, kiedy moje nieszczęsne oko ma być w jakiś dziwaczny sposób, może wyjmowane z orbity, dotykane jakimiś instrumentami czy rękami. Powtarzam, byłem i przerażony i zawstydzony tem, że mogę tak stchórzyć. Wstydziłem się pytać dokładnie o tę sprawę, gdyż czułem, że budzi się we mnie dziki bunt w obronie mego nieszczęsnego oka. Było to może dziecinne i śmieszne, lecz niestety tak było. Nazajutrz już rano miałem to badanie. Przyszedłem na to badanie cały spotniały, spotkałem zaś tego miłego doktora w wojskowym mundurze, gdyż badanie odbywało się w szpitalu Ujazdowskim, że to nieco mnie uspokoiło, gdy sobie powiedziałem, że wreszcie w ostateczności strachu mogę tego doktora postawić na baczność i nie pozwolę mego oka ruszyć.

Nadzwyczajnie miłe i serdeczne ujęcie sprawy przez doktora i brak jakichkolwiek ostrych instrumentów, co od razu sobie zanotowałem po obejrzeniu gabinetu, zaczęło mnie uspakajać do tego stopnia, że już bardziej odważnie siadłem na wskazanym fotelu, a z zupełnym już odetchnięciem i ulgą usłyszałem wyjaśnienie, że zostawią mnie w zupełnej ciemności z jedynym obowiązkiem nacelowania oka w jednym tylko kierunku i patrzenia przez pewien czas w jakieś śmieszne aparaty, przypominające aparat fotograficzny. „To potrafię” pomyślałem już z zupełnym spokojem i po kilku chwilach patrzenia w jakieś światełka operacja została zakończona. I poco używać takich strasznych nazw dla prostej zupełnie operacji, i poco niepotrzebnie straszyć ludzi taką okropnością, jak badanie dna oka. Czyż nie można tego zrobić rozumnie bez narażania na strach ludzi!

Jeżeli tę całą śmieszność, należącą do historii personalnej anegdotę opowiedziałem, to dlatego, iż w czynnościach większości sejmu istnieje także to straszne dno oka w postaci Trybunału Stanu. Nigdy dotąd w Polsce, pomimo wielkich nadużyć, nawet powiedzmy łajdactw, żaden mi-

nister nie był zaczepiany groźbą trybunału stanu oprócz znanych wielkich brudów, związanych z ministerjum finansów Kucharskiego, które zresztą nie zostały odesłane do prania w trybunale stanu, gdyż większość sejmowa z tem się nie zgodziła. Jedynie zacięty poseł Moraczewski, który sprawę przeciwko Kucharskiemu prowadził, został i wysmiany, i zlekceważony za chęć dotknięcia jakiegokolwiek ministra trybunałem stanu. Zdarzyło się to jednak poraz drugi w naszej historii w stosunku do kolegi mego, pana ministra finansów Czechowicza, człowieka, który pracą swą uporządkował otrzymany w zupełnym nieporządku system podatków, i doprowadził swą pracą państwo do tego, że przykładem świecić może wszystkim innym państwom, gdy Polska przy jego zarządzie skarbem dotąd bilansuje swój budżet nie deficytem lecz przewyżką dochodów nad wydatkami.

Czyżby więc obecny sejm, sięgając do tak wyjątkowych praw, jak trybunały stanu, chciał w ten sposób powiedzieć, iż woli brudy i nadużycia, niż uczciwą pracę?

Nie mogę nie powiedzieć także, że ta próba sejmu ma jedną stronę, która zaprzecza wszelkiemu poczuciu najzwyczajniejszej, najprostszej sprawiedliwości.

Byłem wtedy na szczęście ciężko chory, tak, iż przypuszczałem, iż jedną nogą stoję po tamtej stronie życia, i dlatego byłem mocno zobojętniały na wszystkie zjawiska tego świata.

Pamiętam jednak dobrze, że przyjechał do mnie pan Bartel, szef naszego gabinetu, stwierdzając mi początek owej operacji, straszającej trybunałem stanu, pytając mnie o moje zdanie w tej sprawie. Odpowiedziałem mu, że uważam siebie osobiście, jako szefa byłego gabinetu za odpowiedzialnego za te przekroczenia tak zwanej Ustawy Skarbowej, które są związane z budżetem inwestycyjnym. Pamiętam bowiem dokładnie, iż całe moje staranie, bardzo usilne, kierowałem zawsze dla zgwałcenia pana Czechowicza, aby wszystko to, co jest inwestycją, nie szło pod obrady sejmowe. Zawsze bowiem obawiałem się, iż wtedy będzie nie inwestycja, ale zgodnie z tradycją sejmu lekkomyślne trwonienie pieniędzy podatkowych. Pan Bartel mi odpowiedział, że on to dobrze rozumie, i że nie może także jako szef obecnego gabinetu, pozwolić na oskarżenie jednego z ministrów bez swojej za niego odpowiedzialności. Dodał przytem, że będąc głównym czynnikiem pracy gospodarczo-finansowej, nie mógł także często nie gwałcić pana Czechowicza, który u nas w gabinecie należał do najostrożniejszych ministrów pod względem funduszy skarbowych. Zakończył zaś krótką wizytę u mnie stwierdzeniem, że zgłosi natychmiast swoją solidarność z oskarżonym ministrem i że będzie żądał raczej trybunału stanu dla siebie, niż dla ministra Czechowicza.

Gdy ja myślę o sądach, jako o próbie wymiaru sprawiedliwości, to od razu stwierdzę, że niema na świecie takiego sądu, któryby się ośmielił zneglizować oświadcze-

nia czyjekolwiek, że oskarżony nie jest winien, a winien jest oświadczający. Jest to tak zgodne z wymiarem jakiejkolwiek sprawiedliwości, że gdyby znalazł się sąd, któryby tej prostej prawdzie sprawiedliwości zaprzeczył, toby otrzymał nazwę nikczemnego sądu i gdyby w ucieczce od skutków nikczemności schował się w mysią dziurę, to tam jeszcze deptać go nogą trzeba, ażeby znikł i zdechł, jako próba wymiaru sprawiedliwości. I czy wezmę najwyższej rozwinięte sądy, jak w anglosaskiej rasie, czy w dziukiem i krwiożerczem plemienu jakichś Zulusów czy Boto-kudów, wszędzie sąd taki byłby nikczemny. Nawet przy krwawych rozprawach sądów wojennych podczas wojen i walk bratobójczych, walk domowych, taka nikczemność nie jest i nie była dopuszczalna. Może jedynie wśród ludożerczych plemion Papuasów czy innych im podobnych wybierają przy takich sądach dla wspólnej uczytłustszych, a akurat pan Czechowicz był tłustszy.

I gdy pomyślę, co może prowadzić ludzi do tego rodzaju znikczemnienia, to nie mogę nie powiedzieć, że usprawiedliwić i wyjaśnić to znikczemnienie może jedynie przyzwyczajenie do wogóle nikczemności zwyczajów i obyczajów Sejmu w Polsce. W tych zwyczajach i obyczajach leży wychowanie posła w sposób najbardziej nieprzyzwyczajony, najbardziej hultajski, jaki sobie wyobrazić można, gdyż główna myśl i główne staranie tych panów jest zawsze o utrzymanie zupełnej bezkarności posła za wszystkie jego czynności, chociażby najbardziej nieprzyzwyczajone i najbardziej sprzeczne z najelementarniejszym poczuciem honoru. Polska przecież chowała swych posłów w pierwszym sejmie t. zw. suwerenów, w bezkarności zdrady państwa podczas wojny, bezkarności płatnego szpiegostwa w stosunku do armji będącej w polu i umierającej za ojczyznę. W drugim zaś sejmie, w którym bodaj połowa posłów pochodziła z owej kuźni zdrady państwa, posłowie wychowywali się w korupcji, tak dalece sięgającej i tak często uprawianej, że głos posła kosztował niekiedy nie więcej jak 50 złotych. Z tej zaś błotnistej prawdy sejmowej wyszło przecie do 110 posłów i w obecnym sejmie.

W tej amoralnej atmosferze, w tej atmosferze moralnej insanity, słabe głosy tak przesiakają swoją niczemnie usprawiedliwioną wielkością, że staje się dość niemożliwym obcowanie z takimi ludźmi, tak, powiedzmy, jak dość trudnym jest obcowanie nawet dla lubiących bardzo dzieci, z dziećmi z zakładów poprawczych. Ci panowie konkurujący wiecznie z jedynym suwerenem państwa, gdyż sami się czują suwerenami, dochodzą w swoim postępowaniu—powtarzam przy bardzo słabych często głowach — do mniemania, że jeżeli brzuch go zaboli i jest z tego powodu w złym humorze, to to jest najważniejszy wypadek dla całego państwa. A gdy się pan taki zafajda, to każdy podziwiać musi jego zafajdaną bieliznę, a jeżeli przytem zdarzy mu się wypadek, że zabzdzi, to to jest prawo dla innych ludzi, a najbardziej dla ministrów, którzy muszą nie pracować dla państwa, ale obsługiwać i fagasować tym zafajdanym istotom.

W sposobie zachowania się wychowanych w moralnej insanity panach jest coś tak bezczelnego i tak zciemniałego pod względem umysłu, gdyż nawet idiotyzm jest bezkarny — a nieszczęsna Polska i to szanować musi — że każdy cokolwiek rozumny człowiek z trudem wytrzymuje to towarzystwo, gdy wymagają od niego, żeby szanował głupstwa, chociażby pluł sobie potem w oczy, żeby milczał, gdy go obrażają i lizał ich zafajdane ubrania.

Do tego doprowadziło to gwałtowne staranie o bezkarność za wszelką zbrodnię, do tego doprowadziło czynienie z sejmu związku zawodowego ludzi chorych na fajdanitis poślinis. I trzeba nie mieć wstydu, zatracić go zupełnie, żeby w tym fajdanitysie poślinim widzieć główny prestige sejmu.

Jednym z moich licznych projektów dla uleczenia tego raka życia polskiego była myśl o daniu przed wysłuchaniem ministra korepetytorów dla panów posłów dla nauczania, jak rozumnie stawiać pytania. Lecz porzuciłem tę myśl, gdyż nie wątpię, że panowie posłowie odmówią wycofania części ich gaży dla opłaty korepetytorów i w dodatku przy chorobie na fajdanitis poślinis nie można przecie pedagoga bez różgi postawić dla nauczania.

W tych warunkach praca tych, co krajem rządzą i którzy tyle roboty swojej wkładają w swoje resorty, że praca ich przewyższa najczęściej przeciętnie wymaganą ilość pracy ludzkiej — w tych warunkach — powtarzam, życie takich ministrów z panami chorymi na fajdanitis poślinis, stać się musi jakąś katorgą nie do zniesienia. To też nigdy nie zapomnę określenia jednego z najinteligentniejszych ministrów, że po rozmowie musowej dla niego z panami posłami ma on wrażenie, że wyszedł z menażerji, zapełnionej złośliwymi małpami, załatwiającemi wszystkie swoje potrzeby publicznie, i nie starającemi się wcale być podobnemi do ludzi. I doprawdy nigdy nie rozumiem, jak w takim fajdanitis poślinis szukać jakiegoś prestige'u sejmowego, kiedy to tylko obniżenie człowieczeństwa.

Przy takiej charakterystyce panów z większości sejmowej, może i można znaleźć wytłumaczenie tak nienaturalnie skonstruowanej prawdy o sprawiedliwości, jaka była zastosowana w sejmie do pana Czechowicza, z jakimś bezczelnym negliżowaniem oświadczenia pana Bartla, do czego ja, będąc tak ciężko chory, przyłączyć się nie mogłem. Taka nikczemna sprawiedliwość nie może być wytłumaczona inaczej, jak nabytemi przez dłuższy czas przyzwyczajeniami do ludożerstwa, gdzie wybór pada na tłustszego, tembardziej, gdy rozporządza workiem złota.

Przechodzę jednak do wrażeń człowieka ciężko chorego, który, powtarzam, był mocno zubożniały na wszystko, prócz może własnych dzieci. Pan Bartel, jako szef gabinetu, przyszedł do mnie raz jeszcze na krótką bardzo chwilę, chcąc przed gabinetową radą ministrów wziąć i moją opinię o sytuacji parlamentarnej. Powtórzyłem mu swoje zdanie, wyżej wymienione, raz jeszcze i radziłem, żeby pan Czechowicz, jako oskarżony, negliżował całą sytuację tak dalece, że nie chodziłby na jakiegokolwiek posiedzenia, związane z jego oskarżeniem. Dodałem, iż należy przypuszczać, że budżet będzie odrzucony i że wobec tego musi nastąpić zmiana gabinetu i cały kłopot spadnie na głowę pana Prezydenta. Prosiłem więc, aby powiedział panu Prezydentowi, że wydaje mi się, iż wszelkie niebezpieczeństwo życia zaczyna odemnie się już odsuwać, i że pan Prezydent w zupełności liczyć może na mnie, jako tego, co gabinet poprowadzi.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy nazajutrz czy w dzień potem, wpadł do mnie pan Bartel, z przerażeniem stwierdzając, że na radzie gabinetowej ministrowie nie dali sobie rady z samym panem Czechowiczem, który chciał widzieć swój honor urażony, gdyby nie stanął do odpowiedzialności, gdy jego właśnie mogą oskarżać o jakieś nadużycia skarbowe. Stwierdził mi, że pan Czechowicz jest tak rozdrażniony i tak się czepia uraz swego ho-

noru, że sesja skończyła się niczem. Wzruszyłem na to ramionami, gdyż gdzież szukać honoru u jakichś małych. Odpowiedziałem jednak, że my nie możemy stanąć w takim razie na innym stanowisku, jak, że honor jest zawsze indywidualnie pojmowany i że my w żadnym wypadku honoru swego kolegi narazić nie możemy. W ten sposób stanął pan Czechowicz do rozpraw sejmu. Ja nie chcę urażać honoru pana Czechowicza, lecz doprawdy poco honor w brudnych miejscach umieszczać!!

Wyznam, że, będąc chorym, czytywałem dwa piśma ot tak dla zabicia czasu i dlatego mogę spokojnie postąpić odpowiednio do tytułu, że piszę tylko o wrażeniach chorego człowieka. Albowiem w kwestji zasadniczej oczekiwałem, jako prostej logiki zdarzeń, odrzucenia budżetu panu Bartłowi i więcej myślałem o tem, jak postąpię przy formowaniu gabinetu, niż o detalach pracy panów ministrów w sejmie. Posyłałem codziennie panu Prezydentowi zapewnienie, że czuję, iż powracam do zdrowia i że z zupełnym spokojem na mnie będzie mógł włożyć obowiązki formowania nowego gabinetu. Nie mogę jednak nie powiedzieć, że różne perypetje, które się zaczęły dziać z panem Czechowiczem w ludożerskim towarzystwie, niezmiernie mnie bawiły.

Po pierwsze wyskoczył tam nagle jakiś Lieberman, jako główny tenor w tej smrodliwej sprawie. Pan ten ciągle stawał jakieś tezy, jak gdyby był Lutrem, chcącym te tezy przybić do wrót kościelnych. Gdy starałem się zrozumieć cel i treść tych tez, co kilka dni wyrzucanych na świat, to ani razu nie mógł dojść do ich pojęcia i zrozumienia. Gdy zmęczony chorobą, wieczorami niekiedy sobie przypominał tę śmieszna komedję, to zawsze widziałem, jak ten Lieberman występuje jako fakir i stwierdza, że on zaraz tak się zakręci, że nóg nie będzie widać wcale, a tylko kręcący się w młynku tułów, lecz zato skądś wydobędzie tezę, którą rzuci zdumionemu światu. I widziałem istotnie, jak Lieberman powoli tracił nogi, nie opierając się zupełnie na ziemi, jak widocznymi były poły fraka adwokackiego, unoszące się nad jego brzuchem i odwrotną częścią ciała i jak to z gęby, to z innych części ciała wydobywał jakieś kulki, rzucając nimi dokoła siebie. Lieberman był to komiczny dyszkant opery sejmowej. Ciężkim zaś i bardzo ciężkim tenorem był niejaki pan Woźnicki.

Ten pan, jak zresztą i Lieberman, już posłuje w trzecim sejmie, jest więc żelaznym posłem i do niego w całej rozciągłości zastosować można to, co mówiłem o chorobie fajdanitis poślinis. Znałem tego pana oddawna, gdy w pierwszym jeszcze sejmie zajmował stanowisko tak zwanego mego sympatyka. Był już wtedy bardzo ciężki na umyśle tak, że nieraz rozmowę kończyłem propozycją, aby może zechciał o swoich wysokich myślach pomówić z moją Wandą, wówczas jeszcze dwuletnią, zamiast rozmawiać ze mną. Gdy zaś stał się już teraz ludożercą, polującym czy na tłuszcz pana Czechowicza, czy na jego worek, to stężał mocno w swoim umyśle. Przypominam sobie z bardzo dawnych czasów, gdy wypadkowo zastępując swego kolegę, miał na czemś w rodzaju korepetycji chłopca, chcącego złożyć egzamina z 4 klas gimnazjalnych i pamiętam dobrze, jak musiałem jemu wykładać algebrę, która rozpoczynała swą wędrówkę po główkach chłopców już w klasie trzeciej. Osobiście będąc bardzo zdolnym chłopcem, nie mogłem sobie przypomnieć, aby te początki algebry stanowiły dla mnie jakąkolwiek trudność. Jakież

jednak było moje zdumienie, gdy nie mógł tego biednego chłopca przekonać, że jeżeli dodamy do a , b , to suma będzie $a + b$, gdyż ten nieszczęśliwiec uważał, że to będzie ab , czyli zmieniał dodawanie na mnożenie. Pracowałem nad tem zagadnieniem cierpliwie dwa długie tygodnie codzień, tracąc z dniem każdym cierpliwość i możność posiadania jakiegokolwiek względności dla tego biedaka. Biedny chłopak w końcu drugiego tygodnia przy podejsciu do tej tak prostej dla mnie kwestji, zaczynał potnieć tak gwałtownie, że zdawało mi się, zacznie mdleć. Sama jednak kwestja nieszczęsnej abstrakcji, związanej z pojęciem wielkości „ a i b ” nie udawała mu się ani razu, gdyż jego biedny umysł przerabiał to ciągle na zwykłe litery a i b . A mój kolega nie przyjeżdżał i z obowiązku musiałem to nieszczęście ciągnąć dalej. W końcu po dwóch tygodniach straciłem zupełnie cierpliwość i ja, którym nigdy dziecka palcem nie dotknął, zdecydowałem, że jedyną formą nauczania takiego hebesa jest sieć go różgami tak, by przynajmniej mechanicznie odzwyczaił się od głupiego mieszania liter z wielkościami matematycznymi.

Ten nieszczęsny biedak żywo mi przypomina pana Woźnickiego, posła z trzech sejmów i ludożercę, polującego niewiadomo czy na tłuszcz pana Czechowicza, czy na jego worek. Naturalnie, zdarzają się takie wypadki, że Wielki Stwórca świata komuś zapomni zawiesić w głowie latarnię. I cóż na to poradzisz? Czyż można Panu Bogu zaglądać w Jego kuchnię ludzką. A może Wielki Stwórca w Swem miłosierdziu nad naszą biedną i skołatana Ojczyzną chciał z tego durnego hebesa stworzyć ilustrację bodaj najjaskrawszą, jak fajdanitis poślinis jest nietylko nikczemnym, ale i idiotycznym. Niewątpliwie wielkie przysłowie polskie twierdzi, że lepiej z rozumnym przegrać, niż z durniem wygrać. Przysłowie słuszne i dlatego fajdanitis poślinis, gdy jeszcze jest piekielnie głupim, jest najbardziej wstrętnym i obrzydliwym. Bo trudno, latarnia w głowie nie zawieszona i może się stworzyć przysłowie „głupi jak Woźnicki”, ale zato każdy minister ma służyć z powagą głupstw tego pana, paskudnych jego oskarżeń i ma zafajdana i zapoczną od wysiłku myślowego zawodowego idioty bieliznę jeszcze lizać.

Kiedy więc słuchając przy słabnącej już gorączce radja sejmowego, w którym to komiczny dyszkant Liebermana, to tępy do niemożliwości tenor Woźnickiego się rozlegał, myślałem wciąż, że logicznym zakończeniem tej fajdanistycznej opery musi być odrzucenie budżetu. Tymczasem w tej nieodpowiedzialnej, a zafajdanej dostatecznie atmosferze i logika nie obowiązuje. Zamach na Czechowicza, który może trochę tłuszczu straci, lecz worka nie popuścił, został zakończony tryumfalnym marszem fajdanów poselskich z protestem nowego prądu zbawczego dla Polski, a reprezentowanego przez klub bezpartyjny. Natomiast budżet rządu, który się solidaryzował i ciągle to powtarzał z oskarżonym przed trybunałem stanu panem Czechowiczem, budżet ten został uchwalony i w ten sposób rząd otrzymał tak, jak votum zaufania.

Cała więc sprawa stanęła tam, gdzie istnieje fajdanitis poślinis, to jest w jakimś błocie. To znaczy marsz tryumfalny dla prestige'u fajdanitis poślinis, dla jego wielkości i znaczenia, natomiast umizgi do jedynego możliwego obecnie rządu może o worek pieniężny. W ten sposób jakoby rośnie prestige sejmu i chorych na fajdanitis poślinis posłów. Najciekawszem jest, że rząd, którego główni przedstawiciele solidaryzowali się z oskarżonym ma teraz dla

większego prestige'u fajdanitis poślinis organizować trybunał stanu na jednego ze swoich kolegów i mają siebie tak zhańbić jak się zhańbiła większość sejmowa ze swoją sprawiedliwością. Rząd ma się postawić na równi jednakowej ze śmierdzącym fajdanitisem. Jeżeli, czego bym zresztą w tym wypadku życzył, miał być prezesem gabinetu, to oświadczam publicznie, że trybunał stanu nie ośmieli mi się zebrać ani razu, gdyż takiej równi z fajdanami ja sobie nie życzę.

Dodatkowy zupełnie przysmaczek, całkiem już oryginalny, o którym się dowiedziałem, jest ten, że do ostatniego posiedzenia budżetowego sejm, jakby dla upiększenia chorych na fajdanitis poślinis ludzi, ściągano do sejmu jakieś bojówki partyjne. Żałuję mocno, że byłem tak chory, że nie mogłem być czynnym w tym dniu, gdyż nie mógłbym poprostu wytrzymać bez ataku na te bojówki, złożone z bandytów, którychbym osiekl publicznie na podwórzu sejmu. Cóż to za nowe magnaty polskie, zbierające swoje wojska, dlatego, by Polska nierządem stała, což to za takie prawa przyswajają sobie fajdan poselski, żeby bandyckie sfory czynić udziałem w pracach państwowych. Wyznam, że podziwiam pana ministra spraw wewnętrznych, że mógł pozwolić na takie bezceństwo. Usprawiedliwienie może jedyne ma pan Składkowski w tem, że zastępować musiał chorego szefa gabinetu, lecz osobiście ostrzegam, że fajdanizm w tym wypadku idzie za daleko i że pan fajdan wraz z ban-

dytami może znacznie więcej odpowiedzieć niż sobie wyobraża za takie bezecne czynności.

Pomijając ten bohaterski bas bandytów fajdanistycznych, cała afera sesji budżetowej skończyła się komizmem, który jak mówiłem już jest obrzydliwy i wstrętny. Ośmieszono i znieważono wszystko: i sejm i rząd i nieużywane dotąd słowo Trybunał Stanu, wymalowano wszystko na kolor fajdanów. I teraz, gdy niekiedy spokojnie na tę bzdurę patrzę to jednak przypomina mi się moje biedne dno oka. Ten trybunał stanu jest zdumiewająco podobny do dna oka. Przepraszam zaś zgóry jaknajmocniej i najsilniej sympatycznego doktora ubranego w mundur, że go do jakichś fajdanów przyrównuję. Nie chciałbym go w żadnym wypadku tak głęboko obrażać. I naturalnie różnica dna oka, tego tajemniczego dna zwyczajnego człowieka, nie może być podobna do stwardniałego używanego oka do wszelkich nadużyć i łajdactw, z którymi my mamy do czynienia przy fajdanitis poślinis, oka, które kary żadnej nie chce mieć.

Kto wie, może przy użyciu stameski i młotka takie dno oka da także jakieś tajemnice nam dotąd nieznanne. A chowane tak gorąco w ciepłe upragnionej bezkarności i nieodpowiedzialności nawet honorowej, której żądają i życzą stale panowie posłowie, jeszcze raz z zaszczytnym wyjątkiem największego klubu sejmowego, klubu Bloku Bezpartyjnego, gdy zazna odpowiednich instrumentów, może się nauczyć choć wstydu i przywoitości.

Z NOTATNIKA POLITYCZNEGO.

Z CZEGO WINIEN BYĆ UTKANY DZIEŃ JUTRZEJSZY?

Sprawa p. ministra Czechowicza zaważyła poważnie na sytuacji politycznej. Przyczyniła się do tego bezwątpienia — jak na to wyraźnie w swym głośnym artykule wskazał Marszałek Piłsudski — bierność i jakby nacechowana słabością taktyka rządu wobec niedopuszczalnych z punktu widzenia interesu państwowego uroszczeń zjednoczonej opozycji. Barka rządowa miotana była bez steru po wezbranych falach sejmowładztwa. Antyministerjalna większość odniosła w sprawie p. Czechowicza pierwszy poważniejszy sukces taktyczny, który zresztą odbił się natychmiast niepomysłnie na sytuacji Państwa.

Pochylone dotąd nad pulpitemi głowy przedstawicieli obozu sejmokracji podniosły się buńczucznie. Nie wyszło im to jednak na dobre. Pięść Marszałka Piłsudskiego spadła na te biedne główki z takim impetem i taką siłą, że znikły nagle oszołomione gdzieś w mysich norach i nieprędko zapewne ukazały końce uszów.

Ujawnione raz jeszcze przez Komendanta pełne zdecydowanie i nieugięta, świadoma swych celów wola

przywróciły — zachwianą na chwilę — polityczną równowagę w Państwie.

*

I tu mimowoli przychodzi na myśl refleksja: co by nastąpiło, jeśliby Piłsudski — zmęczony, czy wręcz zniechęcony ustawicznym marnowaniem jego mocarnych wysiłków i wielkich, twórczych prac — usunął się w tej chwili od wywierania bezpośredniego, decydującego wpływu na bieg spraw państwowych? Co byłoby wówczas z Polską? A przecież, dniem i nocą, jawne i ukryte siły pracują nad piętrzeniem na drodze, po której On kroczy, wszelkiego rodzaju przeszkód; pracują niezmiernie nad podkopaniem Jego autorytetu w społeczeństwie. Na tę krzywdzielską robotę obóz nasz odpowiedzieć musi zwarciem swych szeregów, pracą nad skupieniem i zorganizowaniem wszystkich twórczych sił społeczeństwa celem zapewnienia zwycięstwa tej wielkiej Idei państwowej, którą Marszałek Piłsudski zapłodnić chce rzeczywistość polską.

*

Frontowym atakiem, jednym mocnym uderzeniem odzyskał Marszałek Piłsudski pozycję, utraconą na chwilę — dzięki błędom taktycznym — na rzecz sejmowładztwa. Zdecydowaną akcją ofensywną zmusił opozycję do odwrotu na całej linii. Ale tego rodzaju operacje nie mogą być ani stałą metodą rządzenia, ani nawet winny powtarzać się często.

Zupełnie więc zrozumiałe jest, iż powstaje pytanie: co dalej?

Zagadnienie to stałoby się odrazu zupełnie proste i jasne, gdyby ster rządów ujął ponownie w swe ręce Marszałek Piłsudski.

Do Niego samego należy jednak wyłącznie sąd, czy nadeszła chwila, w której znów weźmie na swe barki, nigdy nie strudzone, gdy idzie o służbę Polsce — brzemień bezpośredniej odpowiedzialności za bieg spraw państwowych. W chwili, gdy piszemy, nie wydaje się jednak prawdopodobne, by Marszałek Piłsudski stanąć miał na czele rządu.

*

Ktokolwiekby jednak otrzymał od p. Prezydenta Rzeczypospolitej misję

utworzenia gabinetu — nie może ulegać żadnej wątpliwości, że linja ideowa rządów w Polsce pozostanie niezmienna. Mogą istnieć odcienie, czy nawet różnice, w poglądach na taktykę, na pilność, kolejność i ciężar gatunkowy niektórych zagadnień państwowych — a więc różnice dość istotne, gdyż mogące stanowić o większym lub mniejszym powodzeniu najbliższych prac przyszłego rządu. Nie są to jednak różnice zasadnicze, gdyż plan działania rządu utrzymany być musi ściśle w ramach, nakreślonych przez Marszałka Piłsudskiego jeszcze w maju r. 1926.

Zresztą i te pewne możliwości natury taktycznej, które — bodajże — zarysowały się ostatnio w łonie obozu Rewolucji Majowej, łatwo mogą być wspólnym wysiłkiem i porozumieniem uzgodnione i sprowadzone do jednego mianownika.

*

I jeszcze jedno stwierdzenie oczywistości: wśród ogromnej większości społeczeństwa istnieje jedno, zupełnie wyraźnie skryształizowane uczucie: zdecydowana niechęć, by obóz sejmowiczów, by stare partje odzyskały jakikolwiek wpływ na tok spraw państwowych. Ta właśnie powszechna niemal opinja kraju stanowi — obok ogromnego "prestżu" osobistego Komendanta — trwałą siłę obecnego regim'e'u i jego ostoję w społeczeństwie.

I im bardziej sytuacja polityczna staje się, na skutek działań i zasadzek opozycji, naprężona i „delikatna”, im większe trudności zewnętrzne stwarzają Polsce różne machinacje przeciwników rządów Marszałka Piłsudskiego — tem silniej pragnie kraj stałości i trwałości władzy rządzącej.

Jeśli w szeregach opozycji istnieją jednostki oceniające trzeźwo sytuację, umiejące spojrzeć w oczy rzeczywistości, — winny one wpłynąć na zaślepionych przewodców, by poniechali taktyki „im gorzej — tem lepiej”. Nie mówiąc bowiem już o krzywdzie, jaką tego rodzaju metody wyrządzają Państwu, nie sprzyjają one bynajmniej celom i zamierzeniom opozycji. Ale — jak mówi przysłowie — „gdy Pan Bóg chce kogo pokarać — to mu rozum odbiera”.

*

W warunkach obecnej rzeczywistości polskiej, jakie więc winny być za-

sadnicze cechy i najważniejsze zadania nowego, czy też zrekonstruowanego rządu?

Zjednoczona pod hasłami negacji i destrukcji opozycja prowadzi robotę burzycielską celem odbudowania dla partyjnych korzyści przedmowego status quo. Ludziom, którzy myślą jedynie o niszczeniu, należy przeciwstawić plan prac konstruktynych, posuwających naprzód, choćby krok za krokiem, dzieło naprawy politycznej, gospodarczej i społecznej Państwa. Istniejące w tych wszystkich dziedzinach luki i niedomagania są jeszcze bardzo znaczne i bardzo widoczne. Ale żadna naprawa nie jest możliwa, jeśli nie będzie ze strony rządu świadomej, zdecydowanej woli działania, celem realizacji ustalonych i uporządkowanych planowo zamierzeń.

Wokół nakreślonego programu prac rząd winien zgrupować wszystkie czynniki i organizacje społeczne, zdolne współdziałać w jego urzeczywistnieniu, zgromadzić wszystkich tych, którzy stoją na stanowisku, że najwyższy już czas przystosować strukturę i przestarzały mechanizm państwowy do nowych potrzeb i nowych wymagań współczesnego życia.

Obok więc woli rządu kierownictwa — jednym z zasadniczych postulatów chwili obecnej wydaje nam się być jaknajściślejsze wciągnięcie społeczeństwa do czynnej pracy nad przebudową i rozwojem Polski.

*

Oparcie się o zorganizowane na platformie ideologii Marszałka Piłsudskiego siły społeczne, czy dyktatura?, lub trzecie, najgorsze, bezwzględnie szkodliwe wyjście: kryptodyktatura biurokracji — oto najgłębszy bodajże problemat, stojący dziś przed obozem rządzącym Polską.

*

Głosujemy za współpracą ze społeczeństwem. A więc i za współpracą z Sejmem? Tak. Lecz ta współpraca niema bynajmniej polegać na powolności wobec wybryków i nawrotów ofensywnych sejmowładztwa, na dopuszczaniu ujmowania inicjatywy przez opozycję.

Współpraca z Sejmem nie może również opierać się wyłącznie na taktyce i dyplomacji. Zaś jeszcze mniej na „zgniłych kompromisach” i pakowaniu z opozycją. W pierwszym wy-

padku „współpraca” prowadziłaby do sparalizowania wszelkich na dalszą metę obliczonych prac Rządu, w drugim — do wypaczenia zasadniczej linji ideowej.

Współpraca z Sejmem — to umiejętnie, sprężyste kierownictwo, nadawane przez rząd pracom parlamentarnym, to rzutka i zręczna inicjatywa, to dobra wola porozumienia w granicach interesu państwowego, to niezachwiana, niezłomna energia w przeciwstawianiu się i zwalczaniu wszelkich destrukcyjnych poczynań opozycji. To wreszcie dobre zgranie i umiejętny podział zadań politycznych i taktycznych, między rząd a silny przecież bardzo klub prorządowy w Sejmie.

*

Zdajemy sobie dokładnie sprawę z wyjątkowej trudności zadania współpracy z tym Sejmem, którego większość zmobilizowana jest do niszycielskiej walki z siłami, wytworzonymi przez Rewolucję r. 1926. Nurtowany przez prądy rozkładowe Sejm ten ma wyraźne tendencje destruktywnego oddziaływania na Państwo.

Mimo to, jesteśmy przeświadczeni, że przy wielkiej dozie energii i prężności, rząd mający mocną pozycję moralną, rząd opierający się o zorganizowaną siłę społeczną — potrafiłby ująć tę Izbę w karby dyscypliny państwowej i nagiąć ją do swych celów i zamierzeń.

Naturalnie w takich warunkach rząd winien być każdej chwili przygotowany, że jego drogi i drogi tego Sejmu będą ewentualnie musiały w pewnym momencie rozejść się definitywnie. Rząd będzie mógł zdecydować się na to z całym spokojem i bez obawy wstrząsu dla Państwa, gdy z jednej strony mając oparcie w autorytecie Marszałka Piłsudskiego, z drugiej — wrażony będzie mocno w podglebie społeczne.

Szerokie masy, skupione wokół sztandarów ideowych Marszałka Piłsudskiego, oczekują od przyszłego rządu energii defensywnej i ofensywnej, nieklamanej wiary w wielkie przeznaczenie demokracji społecznej, żarliwej woli zreorganizowania Państwa.

Oczekują odeń, by w codziennych zagadnieniach życia państwowego — był sumieniem narodu.

Dobosz „Przełomu”

ZADANIA SPOŁECZEŃSTWA WOBEC KRESÓW WSCHODNICH

Poprzez organizacje społeczno-gospodarcze powinno iść na Kresy Wschodnie uspokojenie, z takim utęsknieniem wyczekiwane przez miejscowe społeczeństwo, tak ważne z punktu widzenia interesu państwowego.

Stanisław Bukowiecki w odczycie wygłoszonym w Wolnej Wszechnicy Polskiej p. t. „Praca społeczna a państwo *)” tak określa zadania wolnej zorganizowanej inicjatywy społecznej:

„Praca społeczna w Polsce obok tego merytorycznego zadania, jakie ma w każdym państwie, więc np. przychodzenia z pomocą ubogim, szerzenia oświaty, spółdzielczości, ruchu zawodowego i t. p. ma obok tego ważne zadanie ogólno-społeczne i narodowe. Pomimo wszystko społeczeństwo polskie jako społeczeństwo państwowe dopiero się tworzy, a tworzyć je tylko zgóry przez organizację zewnętrzną państwa, przez nakazy i zakazy, będzie rzeczą zgoła niedostateczną. Twórczym w tej dziedzinie czynnikiem winna być w tym drugim okresie państwowości, który następuje po jej utworzeniu, samorzutna, zbiorowa praca społeczna, płynąca z wolnej inicjatywy i zespalająca obywateli, działających świadomie i dobrowolnie. Praca taka zespała dzielnice, zespała we wspólnym wysiłku klasy społeczne, łągódząc istniejący, nietylko antagonizm, ile obecność tych klas względem siebie, zmierza do stworzenia z narodu scałkowanego organizmu nietylko politycznego i gospodarczego, ale i moralno-psychicznego, bo takim naród w całym tego słowa znaczeniu być musi. Mamy w Polsce t. zw. mniejszości narodowe, jeżeli nie potrafimy zespolić się z nimi we wspólnej pracy cywilizacyjnej, prowadzonej przez wolne zespoły społeczne, w takim razie czeka nas nieustanna walka wewnętrzna, która w następstwach swoich musi być dla państwa nadzwyczaj niebezpieczna.

Wolna praca społeczna, to żywy dowód energii twórczej i prężności narodu. Naród, który nie ma wolnej inicjatywy, który jest tylko substratem nakazów i zakazów, ten naród wielkich rzeczy nie zdobędzie. Na to, ażeby Naród Polski mógł spełnić te wielkie zadania dziejowe, które ma przed sobą, trzeba koniecznie, ażeby się w nim wytworzyła jak największa aktywność, a więc wolna inicjatywa. Jeżeli będziemy pracowali nad organizacjami społecznymi, nad rozwojem pracy społecznej w ten sposób pomyślanej — to sądzę, że będziemy mogli powiedzieć o Polsce: „Bramy piekielne nie zdobędą Jej”.

Przytoczyłem tę cytata w całości, ponieważ wyczerpująco streszcza pogląd na doniosłą rolę pracy społecznej w państwie. Dobrzeby było, gdyby ten pogląd przyspieszył w Polsce proces odżywiania wolnej inicjatywy społecznej, która po odzyskaniu Niepodległości zamarała wskutek przejścia z pracy społecznej najwybitniejszych działaczy do pracy państwowej i ogólnego zubożenia społeczeństwa polskiego. Naszym działaczom państwowym, niższej i wyższej hierarchji, przydałoby się, aby nietylko tę cytata przeczytali z należytą uwagą, ale żeby również wrazili ją sobie w pamięć i wyciągnęli z niej dla siebie konsekwencje praktyczne.

*) „Prawo i ekonomja” Rocznik Wydziału Nauk Społecznych i Politycznych. Pod redakcją prof. Stefana Dziewulskiego. 1928/9. Str. 12 — 22.

Nieraz już na tem miejscu pisaliśmy, że nie można myśleć o sile Państwa bez silnie zorganizowanego społeczeństwa. Uważamy jednak, że dopóki ta bezsporna prawda nie przeniknie do najszerszych mas społeczeństwa, dopóki nie zdobędzie sobie obywatelstwa u naszych czynników państwowych, dopóty naszym obowiązkiem jest ją powtarzać przy każdej sposobności.

Jeżeli ją poruszamy w tej chwili, to czynimy to pod kątem widzenia wielkich zadań społeczeństwa polskiego wobec Kresów Wschodnich. Nie potrzebujemy chyba pisać na łamach „Przełomu” o doniosłym znaczeniu Kresów Wschodnich dla Rzeczypospolitej, nie potrzebujemy również przypominać, jak ważną i trudną rolę ma do spełnienia na tych terenach nasza państwowość. Natomiast chcemy jak najdobitniej podkreślić, że właśnie tam, na tych rozległych obszarach, zamieszkałych przez bardzo licznych obywateli nie-Polaków, aktywizm społeczny polski jest nieodzownym warunkiem powodzenia naszej polityki kresowej.

Cel tej polityki jest jasny. Jest nim zespolenie wewnętrzne, cywilizacyjne, kulturalne i gospodarcze Kresów Wschodnich z resztą ziem Rzeczypospolitej. Cel ten nie ma nic wspólnego z szowinistycznymi tendencjami do wynarodowienia zamieszkującej tam ludności niepolskiej, ale z drugiej strony jego osiągnięcie nie da się pomyśleć bez energicznego, opartego na poczuciu odpowiedzialności obywatelskiej współdziałania kresowego społeczeństwa polskiego, wspomaganego przez równie energiczny wysiłek społeczny centrum polskiego.

Administracja państwowa na Kresach Wschodnich ma do spełnienia olbrzymie zadania, często przerastające jej siły, na co wpływa bardzo niedostateczne uposażenie i często brak należytego fachowego przygotowania. Pisząc o tem zadaniu, mamy na myśli tylko zadania jej własne, administracyjne i nadzorcze wobec samorządu.

Niski stan kulturalny i gospodarczy Kresów Wschodnich, bliskość Sowietów, usiłujących wykorzystywać zagadnienia narodowościowe dla swych imperjalistycznych celów, stosunkowa słabość elementu polskiego, wszystko to przyczynia się do tego, że trudności, jakie mają do pokonania czynniki państwowe na tych kresach, są o wiele większe niż gdziekolwiek indziej. To też powiększać nad miarę obowiązki administracji przez powierzanie jej zadań, które wszędzie należą i należeć powinny do społeczeństwa, wogóle, ale przede wszystkim na Kresach Wschodnich, wydaje nam się rzeczą nietylko niewskazaną, ale nawet wręcz szkodliwą. Wprawdzie bowiem trzeba jak dotychczas skostatować niedostateczność wysiłku społecznego na naszych obszarach wschodnich, uzasadnione jest nawoływanie do wzmoczenia tam pracy społecznej, ale nie obudzi wolnej inicjatywy społeczeństwa, ani jej nie wyręczy zastępcza praca administracji państwowej. Administracja może, a na tych terenach nawet powinna jedynie koordynować działalność społeczną, może pobudzać inicjatywę społeczną, aby proces aktywizacji społeczeństwa przyspieszyć, ale nie powinna jej sobie podporządkowywać lub włączać do swoich zadań.

To jest jedna strona zagadnienia; druga polega na ustaleniu zasad, na których praca społeczna na Kresach Wschodnich powinna się oprzeć, oraz na wynalezieniu form skoordynowania tych prac oraz powiązania ich z akcją pomocniczą społeczeństwa w centrum.

Dwie są dziedziny pracy społecznej, które na tamtych terenach mają szczególne znaczenie: społeczno-gospodarcze i kulturalne. Pierwsza z nich, wchodząca w zakres działalności takich organizacji, jak organizacje rolnicze, spółdzielcze, związki zawodowe i t. p. powinna poza własnym zakresem działania postawić sobie za zadanie pociągnięcie szerokich mas społeczeństwa *bez względu na narodowość* do wspólnej pracy nad podźwignięciem położenia gospodarczego całej miejscowej ludności. Interes ten jest tak jednakowy dla wszystkich odłamów społeczeństwa kresowego, że nie ma żadnego powodu, aby się dzielił według grup narodowych. Interes ten jest jednocześnie tak silnie przez wszystkich odczuwany, iż może się stać punktem wyjścia dla zbiorowego, solidarnego, ponadnarodowościowego wysiłku, stanowiącego jednocześnie podstawę porozumienia i wzajemnego poznania ludności polskiej z niepolką. *Po przez organizacje społeczno - gospodarcze powinno iść na*

Kresy Wschodnie uspokojenie, z takim utęsknieniem wy-czekiwane przez miejscowe społeczeństwo, tak ważne z punktu widzenia interesu państwowego.

Jednocześnie praca społeczna w dziedzinie kulturalnej powinna być naturalnym uzupełnieniem kompromisu, jaki jest konieczny w zakresie potrzeb oświatowo-szkolnych rozmaitych narodowości, zamieszkujących Kresy Wschodnie. Kompromis ten *musi* wytwarzać ten stan rzeczy, iż zaspakajając potrzeby generalne, naraża na szwank potrzeby szczegółowe. Wolna inicjatywa, stowarzyszenia tego typu, co Polska Macierz Szkolna lub Towarzystwo Szkoły Ludowej, jeżeli chodzi o społeczeństwo polskie, winny braki, wynikające z tego kompromisu, wypełnić, obowiązki państwa uzupełnić.

Wreszcie musi powstać centrala, któraby zajęła się koordynowaniem wysiłku społecznego na Kresach Wschodnich i zdobywaniem środków materialnych na wzmożenie go wobec ich braku na miejscu.

Oto są sprawy, które wymagają jak najszybszego zrealizowania. Są to sprawy pierwszorzędne państwowego znaczenia.

St. B.

TEATR, LITERATURA I SZTUKA.

„SAMUEL ZBOROWSKI“

FERDYNANDA GOETLA

Zbliża się chwila, kiedy mniej nas będą obchodzić „rycerze okuci w stal” symboliczną, a więcej ludzie, których prorokował Norwid, ludzie, co „na garstce ziemi żyją. ale żyją w Bogu”. I o miejsce dla tych właśnie ludzi prostych, jak prostym, choć grzesznym jest Zborowski w ujęciu goetlowem, upomina się autor ostatniego „Samuela”.

Zbyt pochopnie myśli się u nas o Batorym i Zborowskim, jako o pewnego rodzaju braciach sjamskich. Można by powiedzieć, że Zborowski w takiej koncepcji ma tylko o tyle prawo do istnienia, o ile jest przeciwieństwem Batorego czy Zamojskiego; i naodwrot, Batory jest znów przeciwstawieniem Zborowskiego, i ten negatywizm właściwie jest jeśli nie kręgosłupem pozytywności Batorego, to w każdym razie instancją, do której chętnie odwołuje się każdy, kto lubi historję widzieć w „wielkich linjach”. Ale wielkie linje, to zazwyczaj schemat. I schematem jest owa popularna antymonja: Samuel warchoł i Batory — Zamojski statysta. To, że Goetel wysunął na plan pierwszy osobę Zborowskiego, że postać Batorego ukrył, by ją pokazać na jedną tylko chwilę, że mimo wszystko w Zamojskim nie ugloryfikował wcielenia idei, a przeciwnie nawet bunt podniósł przeciwko „idealności” wielkiego kancleza, krótko mówiąc, że Zborowski, jako Zborowski, a nie jako „brat sjamski” Batorego zajął wyobraźnię autora, to już jest tonem nowym, dość silnie uwydatnionym w dramacie, nie na tyle jednak silnie, by podejście to stało się dominantą dzieła.

Że w dramacie Goetla zabrakło tej dominanty, że ją autor, nawet i w scenach początkowych, i w ostaniej, zagłuszył, to przypisać należy, by się tak wyrazić, dwuplanowości w pomyśle dzieła. Punktem wyjścia było, jak przypuszczać można, szekspirowskie widzenie konfliktu i osób dramatu. Szekspirowskie w tem znaczeniu, że nie tak zwany „problem” miał być osią „Zborowskiego”, ale

sama konstrukcja psychologiczna, samo ustosunkowanie się postaci do siebie i rozwój wypadków określać miały, poza wszelką „problematycznością”, zawartość duchową dzieła. Co jest „zagadnieniem”, ideą „Otella”? Niema niczego podobnego. „Idea” jest sam człowiek, jego istnienie, jako człowieka, jego miłości i boleści, które dla Szekspira stają się absolutem; „i nic ponad to” możnaby powiedzieć. Aczkolwiek od takiego podejścia do dramatu i jego osób bardzo odzwyczailiśmy się za sprawą „problemowej” epoki romantyzmu, to fakt ten nie oznacza bynajmniej, że w tem odzwyczajeniu kryje się siła. Przeciwnie, raczej sądzićby należało, że zawarta w tem jest — słabość nas samych i naszej epoki. Człowiek pociąga nas nie jako człowiek, ale jako medium „idei”, sprawy, która przez człowieka idzie, której człowiek jest sługą. Z tym właśnie romantycznym schematem usiłował zerwać Goetel i ukazać nie tylko Zborowskiego, ale i ludzi go otaczających „jenseits der Idee”. Jego realistyczny talent pchnął go w tym kierunku, jak wiodła go ku temu jego wiara, iż niema większego cudu, jak „nagi” człowiek, bez sznurków idei, spraw i t. d., które nim niby marionetką zdają się rządzić. Dlatego Goetel zwracał uwagę nietyle na koncepcję postaci, a raczej na ich kształt, określony za pomocą zważonego, jedrnego dialogu. Tylko to bowiem, co mówią, czują, działają, słowem, czem są, jest ważne dla Goetla, a nie to, co oznaczają, co przez nich i z poza nich przemawia. Człowiek jest tu absolutem; i to jest dnem tej bezproblematyczności osób Goetla, która nas, wychowanych na idei, za-

skakuje. „To tylko człowiek” możnaby powiedzieć o każdej postaci, na co Goetel odpowiedziałby niewątpliwie, że to nie bagatela. Bo gdzież znaleźć większy cud?

Takie jednak postawienie sprawy wymaga nie tylko niebywałej, szekspirowskiej precyzji i wyobraźni w rysowaniu postaci, ale i czegoś więcej: poczucia, że kształt, zwany człowiekiem, jest czemś tak danem, iż wystarczy czerpać tylko z niewyczerpanej skarbnicy form życiowych, by ukazać nowego Otella, czy nową, jak mówił Wyspiański, Antygonę. I tu nastąpiło załamanie się nie tylko Goetla, ale i Zborowskiego: jeden i drugi poczuli, że niema człowieka, bo niema na niego miejsca w tym świecie, który żyje raczej ideami, niż kształtami, postaciami, adoracją człowieczeństwa. Istnieje niewątpliwie głęboki związek pomiędzy przedśmiertną modlitwą Samuela, w której błaga Boga, by go przyjął takim, jakim jest, jako człowieka tylko, a Goetlem, który w dziele swem także tylko o możliwość pokazania człowieka prosił Boga, a poczuł, że to nie może stać się w tej chwili, że mimo wszystko trzeba ze Zborowskiego uczynić „noścę” jakiejś idei, bo człowiek, jako człowiek, nie jest dla nas czemś dostatecznie świętem, by samo pokazanie go zdołało nas przejąć, czyli — inaczej mówiąc — niema człowieka i niema dlań miejsca w świecie, gdzie raczej aniołowie walczą na myśli, niż ludzie na serca. I z tem gorzkim doświadczeniem musiał Goetel opuścić szekspirowski plan swego dzieła, a zejść na romantyczny plan idei. Pierwotny zamysł poniósł porażkę, ale za to mocno i jak nigdy dotychczas powiedziano ze sceny, że niema człowieka, że niema na niego miejsca w tem wspaniałym widowisku półboskich statystów, kąpiących od szlachetności, świętości, nawet tragizmu w tym świecie sług idei, ludzi może nawet potężnych, ale zapierających się owego serca, „którem płacze ziemia”. Dlaczego niema człowieka, jako człowieka? pyta Samuel i Goetel. Dlaczego niema miejsca dla kogoś, kto jest „człowiek prosty”, jak mówi o sobie Samuel, w kim żyje ów „świat trzeci” zwykłego człowieczeństwa z jego grzechami i cnotami? I sprawia Goetel, że przez chwilę gardzimy tą kolumną dostojności, jaką wydaje się być Zamojski, a sercem jesteśmy przy Zborowskim, „prostym człowieku”, takim, jak tysiące, miliony. Nie jest to bynajmniej odruch sympatii dla warcholstwa, ale wynika ze zrozumienia, że ustami Zborowskiego została wypowiedziana wielka prawda, wielka „idea” Goetla: ten świat pomieścić może dostojników duchowych, wzniosłych sprawców losu, na których miarę zakrojona jest obowiązująca moralność życiowa, arystokratyczna i patetyczna, ale gdzież skłoni głowę ów człowiek prosty, ów człowiek niewypowiedziany i niedostrzegany nawet, człowiek, któ-

ry nie może żyć wielkimi planami, układanymi w tajni królewskiego gabinetu, ale musi żyć tylko sobą, swym grzechem i miłością? Czy ów człowiek prosty ma być tylko mierzwą dla zamysłów istnień szczytowych, czy nie ma on prawa do słowa i wypowiedzi i nieodzwonnie zapłacić musi głową, gdy zaciasno mu się stanie w tym świecie ziemnych dostojności lub chłodnych ambicji i gdy poczuje, że wszystko dokoła jest wielką może i nadludzką grą, ale daleką i jego prostemu, choć grzesznemu sercu, i temu sercu, „którem płacze ziemia?”

Możnaby powiedzieć, że Goetel, porzuciwszy szekspirowską płaszczyznę swego dramatu, zeszedł na ideową, „romantyczną”, z niej jednak wielkim głosem upomniał się o ów świat, który musiał porzucić, o ów świat, którego bohaterami nie są koturnowi statysci przeznaczenia, ale cicha Desdemona z sercem wezbranem miłością, jakich wiele, lub starzec zwany Learem, co poznał, jak lichem odzieniem jest królewska purpura. Możliwość również powiedzieć, że „Zborowski” Goetla, to bunt przeciwko purpurze, którą tak łatwo przysłonić „serce, którem płacze ziemia”. I dlatego dzieło Goetla, choć można mu wytknąć to i tamto i jeszcze coś, przemawia głosem ważkim, bo sygnalizuje ono przemianę, od której zatrzęsą się posady literatury i życia polskiego. Nie jedyny to zresztą znak na ziemi i niebie, iż zbliża się chwila, kiedy mniej nas będą obchodzić „rycerze okuci w stal” symboliczną, a więcej ludzie, których prorokował Norwid, ludzie, co „na garstce ziemi żyją, ale żyją w Bogu”. I o miejsce dla tych właśnie ludzi prostych, jak prostym, choć grzesznym jest Zborowski w ujęciu goetlowym, upomina się autor ostatniego „Samuela”.

Jakże dalekie to patetycznym rozmiarom misterjum Słowackiego, gdzie święta idea potrzasa krwawą głową przed tronem Boga! Tam sprawa o niedopuszczenie do życia w wzniosłości, tu sprawa o niedopuszczenie do życia w prostocie. Powiedziałyby ktoś: a więc pomniejszenie wielkości, uniwersał „tragedji drobnoustrojów”? Bynajmniej. Desdemona nie jest drobnoustrojem, tylko się tem źle widzącemu oku wydać może, gdyż jej wymiary są nie z tego świata, w którym o wielkości człowieka decyduje jedna z odmian owej purpury doczesności. Ale są to wymiary, które dostrzec może tylko Bóg i wielki poeta. I nie jest to może przypadkiem, że w ostatniej chwili Samuel Goetla odwołuje się do „ojca zbląkanego”, by zaświadczyć, iż mimo wszystką jego grzeszność był on człowiekiem. Gdzież bowiem, jeśli nie tam jest instancja, która zna rzeczywistą wielkość małych i prawdziwą małość wielkich?

Wilam Horzyca

ŻYCIE GOSPODARCZE.

KRYZYS KREDYTOWY

Obserwującemu zzewnątrz nasze stosunki gospodarcze musi rzucić się w oczy, że przeżywamy rodzaj *inflacji kredytowej*. Stosunkowa szczupłość obiegu pieniężnego (około 46 zł. na głowę ludności, co nie dosięga połowy natężenia obiegu z czasów przedwojennych) i słabość kapitałów obrotowych przemysłu i handlu musiały z konieczności pchnąć rozwijające się życie gospodarcze do szerszego surogowania gotówki wekslem i stąd obserwujemy typową dla sytu-

acji bieżącej inflację wekslową. Nawet konsumpcja jest w szerokich rozmiarach *dopingowana przez przemysł* (a raczej przez handel) systemem kredytu spożywczego jak np. weksle, raty, fikcyjne wyprzedaże i t. p.

W tych warunkach warto rzucić okiem bodajby najpobieżniej na rozwój stosunków w zakresie kredytu wekslowego (krótkoterminowego), aby zorientować się co do rzeczywistych tendencji rozwojowych w tej dziedzinie.

Tak więc w porównaniu z 1925 r. dyskonto weksli kupieckich w bankach akcyjnych w Polsce wykazywało do niedawna *stały wzrost*. W trzynastu bankach akcyjnych wynosiła pozycja bilansowa „Dyskonto“: *)

w dniu 31.XII.25	117.717.000 zł.
„ 31.XII.26	149.093.000 „
„ 31.III.27	292.888.000 „
„ 30.VI.28	385.974.000 „
„ 30.XI.28	441.356.000 „

Wzrost więc istotnie bardzo poważny. Dowodzi on, że banki żywiej reagowały na potrzeby obrotu i że życie gospodarcze ohotnie korzystało z dyskonta, skoro w przeciągu trzech lat *ilość zdyskontowanych weksli wzrosła prawie czterokrotnie*.

Wiadomo, że tylko część weksli będących w obiegu, dochodzi do dyskonta bankowego. Obieg więc pełny, rzecz prosta, był znacznie większy i być może — *wzrastał jeszcze szybciej*. Naturalnie, musiało to po pewnym czasie spowodować zjawisko odwrotne: *weksle musiały ulec konfrontacji z gotówką*, a ponieważ tej ostatniej nie przybyło, przeto przyszła *fala protestów*. Zjawisko to dość wyraźnie zarysowało się jesienią 1928 r.: suma weksli zaprotestowanych poczęła wzrastać, co ilustruje poniższa tabliczka.

IX.28	49.880.000 zł.
X.28	60.255.000 „
XI.28	61.640.000 „
XII.28	67.668.000 zł.
I.29	76.787.000 „
II.29	82.660.000 „

Liczby powyższe są bardzo wymowne. Dowodzą one, że *obieg wekslowego bezkarnie powiększać nie można*, gdyż życie nie wchłania go i nie asymiluje. Weksel jest instrumentem handlowym niesłychanie delikatnym, i choć twarde warunki polskie mocno stępiły naszą przeciętną wrażliwość w dziedzinie t. zw. *etyki wekslowej* (sankcjonowanej zresztą bardzo ostro przez surowe przepisy prawa wekslowego), jednakże i u nas musiało przyjść do pewnego

*) Wszystkie dane liczbowe wzięte są z „Wiadomości Statystycznych“.

otrzeźwienia w zakresie swoistej psychozy wekslowo-kredytowej. Oznaką tego otrzeźwienia dającą się zaobserwować dość uchwytnie już od listopada r. ub., a więc od momentu najwyższego napięcia obiegu weksli — jest *powolne wyraźne zahamowanie rozpędu dyskonta w bankach akcyjnych*. Przekonywuje nas o tem poniższe zestawienie pozycji „Dyskonto“:

30.XI.28	441.356.000 zł.
31.XII.28	437.570.000 „
31.I.29	443.746.000 „
28.II.29	442.898.000 „

Zjawisko jest właściwie, można powiedzieć, dopiero zarysowane. Dyskonto jeszcze nie przeżywa paniki, ale już stanęło w miejscu. W odpowiednich okresach z przed roku dyskonto wzrastało, gdy obecnie już nie. Równorzędnie więc z pogarszaniem się płatności weksli ujawnia się zrozmiała i chwalebna czujność oraz ostrożność instytucji kredytowych, które ograniczają rozmiar dyskonta i tłumią tą drogą inflację kredytową, zanim urosłaby ona do rozmiarów lawiny.

Jest to *objaw normalny i zdrowy*. W konflikcie dwóch momentów, charakteryzujących sytuację gospodarczą Polski: potencjalnych możliwości obrotu gospodarczego i trudności finansowych — *automatyzm ekonomiczny sam niejako reguluje sytuację*, tłumiąc tendencje rozwoju w niezdrzym kierunku inflacji kredytu spożywczo-obrotowego. *Nie mogą produkcja i obrót wzrastać szybciej, niż na to pozwala kapitał*; stara ta prawda, znana już Adamowi Smith'owi, wydaje się głośno upominać o szacunek dla siebie także i obecnie. Nie radzimy też, aby wolno było jej nie słuchać!

Defetyści skłonni są z liczb wzrostu protestów wekslowych wznosić i prorokować o nadciągającym kryzysie. Nie widzimy żadnej potrzeby unikania spojrzenia tej prawdzie w oczy. Istotnie — *Polska ciągle poniekąd choruje na niedokrwiłość finansową*, która hamuje nasze żywiołowe możliwości produkcyjno - wymienne. Sztuczne surogowanie braku kapitałów kredytem wewnętrznym zbawienne jest tylko do pewnych granic. Dziś wydaje się, że osiągnęliśmy już te granice, poza które bezkarnie wyjść już nie można.

D R O G A

DROGA — buduje zręby nowej ideologii polskiej
 ROGA — sięga do wielkiej tradycji myśli naszej z przeszłości
 ROGA — utrzymuje kontakt z życiem umysłowym Europy i Ameryki
 ROGA — obejmuje wszystkie dziedziny życia kulturalnego i społecznego
 ROGA — jest jedynym miesięcznikiem tego typu w Polsce

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI „DROGI“: WARSZAWA, UL. CHMIELNA 33

Cena numeru pojedynczego zł. 2,50. Prenumerata kwartalnie 6 zł.

Wrażliwa aparatura dyskonta już to spostrzegła i zastosowała środki zaradcze, wskutek czego właśnie zostały przecięte możliwości szerszego kryzysu. Wypadnie raz jeszcze uprzytomnić sobie, że tylko ewolucyjne odbudowywanie gospodarstwa społecznego gwarantować może skutki ciągłe i trwałe, mogące zwycięsko przeciwstawiać się nawet chwilowym załamaniom konjunktury.

Skoro wzrasta stale kapitalizacja drobna, skoro wzrasta konsumpcja, podnosi się zatrudnienie, a waluta zwycięsko salwuje swoją stałość — a to wszystko w świetle liczb jest niewątpliwe — to warunki rozwoju są. Trzeba jedynie ciągle cierpliwości i pracy. I wiary, że gospodarcza Polska za cenę mokoła musi być potęgą!...

Tad. Oszyński

SYTUACJA GOSPODARCZA W LUTYM

Wpływ ostrej zimy na sytuację gospodarczą, który już wyraźnie zaznaczył się w styczniu, w lutym wystąpił z całą siłą: silne mrozy i zamiecie zaciążyły bardzo poważnie na życiu gospodarczym Państwa. Naskutek przerwy w komunikacji (kołowej, kolejowej i morskiej) i nie sprzyjających intensywności pracy warunków atmosferycznych obroty gospodarcze zostały zredukowane do minimum, a produkcja w wielu dziedzinach poważnie skurczyła się.

Zatrudnienie w górnictwie i hutnictwie utrzymało się w lutym na ogół na poziomie styczniowym, przyczem w kopalnictwie węglowym i hutnictwie żelaznym wzrosło, a w kopalnictwie żelaznym i hutnictwie cynkowym zmniejszyło się. Natomiast w przemyśle przetwórczym zatrudnienie wyraźnie obniżyło się (w styczniu nastąpił spadek z 577 do 535 tysięcy). Liczba bezrobotnych wzrosła w lutym w mniejszym stopniu, niż w poprzednich miesiącach, bo tylko z 166.189 do 182.494; liczba ta przewyższa jednak maksymalną liczbę bezrobotnych w r. ub. Wzrost bezrobocia w lutym dotyczy przede wszystkim przemysłów: włókienniczego i budowlanego oraz robotników niewykwalifikowanych.

Wydobycie węgla zmniejszyło się w lutym w stosunku do stycznia o 754 tys. tonn, spożycie krajowe o 366 tys. tonn, a eksport o 423 tys. tonn. Spadek zbytu w kraju i zagranicę — mimo trwającego dużego zapotrzebowania — został spowodowany brakiem węglarek oraz trudnościami komunikacyjnymi, spowodowanymi przez mrozy i zamiecie oraz zatopy lodowe w portach. Produkcja dzienna surowki obniżyła się w lutym o 12,5 proc., stali o 6,1 proc., wytworów walcowanych o 13,2 proc., rur o 1,6 proc. Ilość zamówień dla hut zmniejszyła się poważnie, przyczem szczególnie dotyczy to zamówień rządowych (o 88 proc.), następnie przemysłu (o 31,7 proc.), najmniej zaś zamówień handlu (o 12,3 proc.). Wytwórczość cynku surowego zmniejszyła się w lutym o 14,2%,

blachy cynkowej zaś o 16,2 proc. (dzień na o 5,4 proc.), natomiast wytwórczość ołowiu, dla którego konjunktura na rynkach światowych wybitnie poprawiła się, wzrosła o 22,4 proc. (choć była mniejsza od wytwórczości w lutym 1928 r. o 14,9 proc.). Przemysł naftowy — mimo odmiennych przewidywań — wykazał naskutek panujących mrozów silne obniżenie się produkcji — z 57.711 tonn do 48.518 tonn (przeciętna dzienna produkcja w zagłębiu boryslawskim spadła z 1.322 do 1.265 tonn). Również zmniejszyła się produkcja, a zwłaszcza zbytu produktów naftowych. W przemyśle drzewnym fala mrozów i zawiei śnieżnych przedłużyła poprzedni stan zastoju, wywołany niepewnością stosunków wobec ustalenia dopiero w końcu stycznia przewozów drzewnego polsko - niemieckiego. W przemyśle metalowo - maszynowym stan zatrudnienia — za wyjątkiem fabryk maszyn rolniczych — był znacznie lepszy, niż w r. ub. Produkcja włókiennicza wskutek poważnego spadku zbytu zmniejszyła się w lutym dość znacznie przyczem położenie przemysłu łódzkiego było gorsze, niż bielskiego (redukcja pracy w wielkim przemyśle łódzkim w stosunku do pełnego tygodnia zatrudnienia wynosiła w fabrykach bawełnianych 8,6 proc., wełnianych — 15,4 proc.). W przemyśle chemicznym zbytu jak i w całym przemyśle był utrudniony i naskutek tego zmalał, stan zatrudnienia pozostał na ogół na poprzednim poziomie.

Rolnictwo poniosło znaczne straty w inwentarzu żywym i okopowiznie wskutek mrozów. Obroty artykułami rolnymi zostały prawie całkowicie zahamowane, co pogłębiło jeszcze panującą na wsi ciasnotę gotówkową. Zwyżka cen zbóż i nabiału wobec minimalnych obrotów nie polepszyła sytuacji.

W handlu zastój przybrał bardzo poważne rozmiary. Wskutek ustania obrotów kupcy znaleźli się w trudnościach płatniczych, wobec tego wypłacalność uległa pogorszeniu, a ilość protestów znacznie wzrosła.

Ceny w lutym zwyżkowały (hurtowe o 3,1 proc., detaliczne o 2,7 proc.) — mianowicie wskutek zwyżki cen zbóż i przetworów oraz nabiału.

W handlu zagranicznym spadł i przywóz i wywóz, lecz ten ostatni znacznie silniej (o 29,9 miljn. zł. wobec 19,5 miljn. zł.). I tu decydującym czynnikiem były mrozy i związane z nimi trudności komunikacyjne, pozatem zmiany sezonowe.

Przewozy kolejowe wykazały spadek z 15.761 do 13.726 wagonów średnio dziennie; spadek ten, spowodowany przerwami w komunikacji, dotknął najsilniej węgla, gdzie ujawnił się szczególnie niedobór węglarek, pozatem produktów rolnych oraz surowców i wytworów przemysłowych.

Na rynku pieniężnym i kredytowym sytuacja pogorszyła się, zwłaszcza w handlu. Napiecie finansowe charakteryzowała silna zwyżka stopy procentowej (do 3 i pół proc. w stosunku miesięcznym). Zapotrzebowanie kredytów ze strony przemysłu nieco zmalało, ale z drugiej strony banki — wobec licznych protestów — były powściągliwsze w udzieleniu kredytów.

Rezerwy walutowe Banku Polskiego — wobec znacznie zmniejszonego zapotrzebowania dewiz na giełdzie i dopływu kredytów krótkoterminowych z zagranicy — wzrosły w lipcu z 685,2 do 697,7 miljn. zł.

Gospodarka finansowa Państwa wykazała w lutym nieznaczny spadek dochodów (zwykły objaw w lutym, dotyczący zwłaszcza wpływów z danin), mianowicie z 256,9 do 249,3 milj. zł. i znacznie silniejszy spadek wydatków — z 227,5 do 203,5 milj. zł., nadwyżka dochodu wzrosła do 45,9 milj. zł. W ciągu 11 miesięcy r. 1928/29 nadwyżka dochodów nad wydatkami wyniosła 209,9 milj. zł., przyczem dochody dały już 103,7 proc. kwoty, przewidzianej na cały rok budżetowy (dewizy dały 122 proc., a same podatki bezpośrednio 134,5 proc. sumy, preliminowanej w budżecie).

W. Sz.

CENA OGŁOSZEŃ:	Adres Redakcji i Administracji:	CENA PRENUMERATY:
Nadesłane (1 strona) zł. 800.—	Warszawa, Nowy Świat 21, tel. 339-94	Rocznie zł. 18.—
1 strona zwykłe . . . „ 600.—	Konto P. K. O. — 13.044	Półrocznie „ 9.—
1/2 „ „ 320.—		Kwartalnie „ 4.50
1/4 „ „ 175.—		
1/8 „ „ 90.—		

Za wydawców: Jerzy Szuriga;

Pod redakcją: Jerzego Szuriga;

Redaktor odp.: Jan Zimosz.